

ANNIE WHISLER

Annie posiadała wielką moc. Miała ogromne serce przepelnione miłością i troską o skrzywdzone dzieci. Była silna, zdeterminowana i pełna wiary, dlatego w najtrudniejszych chwilach potrafiła przenosić góry.



Annie urodziła się w 1870 roku w Canonbury, na przedmieściach Londynu. Dom Państwa Whislerów znajdował się przy ulicy Świętego Pawła, wzdłuż której ciągnęła się szeregowa zabudowa jednakowych, dwupiętrowych budynków. Do każdego z nich prowadziły kilkustopniowe, kamienne schodki i wąskie, ale dość ciężkie, drewniane drzwi. W ciepłe letnie wieczory, gdy akurat nie padał deszcz, przyjemnie było móc przysiąść na tych schodach i obserwować ulicę. Annie była wnikliwą obserwatorką. Jej spostrzegawcze oczy potrafiły od razu wychwycić najdrobniejsze zmiany w otoczeniu czy w spojrzeniu ludzi. Nieraz w dorosłym życiu ten dar pomógł Annie zapobiec prawdziwej katastrofie.

Gdy dzień chylił się ku końcowi, całe Canonbury leniwie przygotowywało się do snu. Do mieszkańców dochodziły dźwięki z zawsze gwarne i nigdy nieśpiącego, dalekiego centrum Londynu. Tu natomiast, na ulicy Świętego Pawła, życie toczyło się innym rytmem. Noce w Canonbury bywały naprawdę ciemne, szczególnie, gdy granatowe niebo spowijały gęste, deszczowe chmury. Za dnia natomiast, przedmieścia Londynu zamieniały się w prawdziwe centra handlowe. Mężczyźni otwierali swoje biznesy, a chłopcy biegali z naręczem gazet, krzycząc i namawiając przechodniów do lektury. Z kolei kobiety ubrane w długie,

kolorowe i strojne suknie oraz eleganckie kapelusze, odwiedzały niewielkie sklepiki. Nierzadko towarzyszyły im dzieci. Ojciec Annie handlował wełną, a starszy brat herbata. Z całą pewnością, nieraz przyszło więc Whislerom obserwować zaaferowane zakupami najmłodsze pokolenie londyńczyków. Może i Annie odwiedzała sklepiki, robiąc zakupy na prośbę swojej mamy? Pewnie zastanawiasz się, jakim dzieckiem mogła być? Jaka była, zanim dorosła? Przez swą skromność i umiłowanie do prostoty, Annie nie pozostawiła po sobie pamiątek, ani żadnych zapisanych wspomnień. Koncentrowała się na tym, co uważała za ważne i słuszne. Na kartkach pocztowych umieszczała relacje z podróży, a w listach do przyjaciół chwaliła Boga. Annie bardzo Go kochała i czuła, że jej błogosławił.

Kiedy Annie dorosła, postanowiła swoje życie ofiarować Bogu i służyć biednym, samotnym i chorym ludziom. Została więc diakonisą. Piękne, kolorowe sukienki z bufiastymi rękawami zamieniła na długą do kostek, prostą i czarną szatę. Jediną jej ozdobą był biały kołnierzyk zapinany pod szyją i tego samego koloru czepiec, upięty na głowie. Czepiec przypominał niewielki welonik, dlatego niektórym mogło się wydawać, że Annie właśnie wyszła za mąż. Ale Annie chciała być wierną tylko Bogu. Zamiast w podróż poślubną, wybrała się w długą drogę na kontynent. Opuściła Anglię i zamieszkała na Górnym Śląsku w małej wsi pod Bytomiem. Odtąd jej domem były Miechowice, a najbliższą rodziną podopieczni i inne diakonisy służące w tutejszym centrum pomocy – w Ostoji Pokoju. Jeśli popatrzysz na zdjęcie Annie, zobaczysz w jej oczach niezwykłą siłę i spokój. To bardzo ważne. Kiedy fotograf robił ten portret, Annie jeszcze nie wiedziała, jak trudne zadanie ją czeka.

Annie całkowicie poświęciła się służbie Bogu i ludziom. Była dużym wsparciem dla wszystkich, których spotykała na swej drodze. Gdy założycielka Ostoji Pokoju zmarła, Annie na kilka lat przejęła jej obowiązki i kierowała całym ośrodkiem. Nie było to łatwe zajęcie. Miała wtedy już sześćdziesiąt lat.

Pewnego czerwcowego dnia 1934 roku do miechowskiego sierocińca, którym od czterech lat kierowała Annie, przysłała młoda kobieta. Na rękach trzymała niemowlę. Takich sytuacji, od kiedy Annie przybyła do Miechowic, zdarzyło się bardzo dużo. To znaczy, że do sierocińca trafiło naprawdę wiele dzieci. Choć Annie kochała dzieci, to pojawienie się kolejnego, zawsze sprawiało jej ogromny ból. Za każdym dzieckiem kryła się jakaś tragedia. Dzieci powinny wychowywać się w bezpiecznych i kochających rodzinach, a nie w placówkach. Powinny mieć rodziców, bliskich, swoje łóżeczko. Powinny być kochane i chciane. Annie głęboko w to wierzyła, dlatego razem z innymi współpracownicami i diakonisami robiła wszystko, aby każde przyjęte dziecko czuło się u nich jak w domu, jak w kochającej rodzinie. Nie inaczej było z maleńkim Maksem, którego tego dnia przyniosła młodziutka mama. Od dłuższego czasu atmosfera w kraju i na świecie była napięta. Władzę objął człowiek, który namawiał innych do nienawiści. Kto za nim poszedł, kto mu zaufał, robił rzeczy straszne. Młoda kobieta nie zdradziła, dlatego oddaje swojego maleńkiego, kilkutygodniowego synka. Annie i siostry mogły się tylko domyślać, ponieważ kobieta była Żydówką, a człowiek, który miał władzę, chciał zgładzić wszystkich Żydów. Maks nie mógł być więc dzieckiem niechcianym czy porzuconym z powodów, którym można było zaradzić – powtarzały diakonisy – Maks musiał być dzieckiem kochanym wielką, szczerą miłością i z tej miłości oddany. Czasami dorośli są zmuszeni podejmować bardzo trudne decyzje – decyzje, których nigdy nie chcieliby podjąć... W krótkim czasie razem z Maksem w miechowskiej Ostoji Pokoju zamieszkało kilkoro innych dzieci z okolicznych żydowskich rodzin. Wszystkie dzieci zostały otoczone szczególną troską i opieką. Diakonisy musiały być bardzo czujne, ostrożne i pomysłowe. Dlatego zdarzało się, gdy do ośrodka wchodził ktoś obcy, dzieci musiały się chować albo przebierać i udawać kogoś innego. Jeden niewłaściwy drobny ruch mógł sprowadzić nieszczęście na cały ośrodek. Na jednym ze starych zdjęć, maleńki Maks przebrany jest za dziewczynkę. Radośnie

bawi się z innymi dziećmi. Czy tego dnia w ośrodku była jakaś kontrola? Czy znów szukano żydowskich dzieci? A może to tylko zwyczajna zabawa...?

W 1938 roku w listopadową noc źli ludzie spalili w Bytomiu synagogę – żydowską świątynię. Zniszczyli dziesiątki żydowskich sklepików i aresztowali wielu Żydów. Nie inaczej było w innych miastach. Wydarzenia tej nocy nazwano Nocą Kryształową. Wszędzie było mnóstwo szkła z porozbijanych witryn sklepowych, powybijanych okien świątyń i poniszczonych żydowskich mieszkań. Wszyscy byli przerażeni. Po tym zdarzeniu została zorganizowana wielka akcja ratowania żydowskich dzieci. Przez kolejne dziewięć miesięcy z kilku europejskich zakątków chłopcy i dziewczynki żydowskiego pochodzenia wyruszyli w długą podróż do Anglii. Część z nich była zbyt mała, żeby rozumieć sytuację i by zapamiętać swoich najbliższych. Inni natomiast, nie byli już na tyle mali, by nie wiedzieć, że jest to podróż w jedną stronę, bez powrotnego biletu. Podróż ratująca życie – tylko ich życie. W krótkim czasie większość dzieci straciła swoich rodziców i większość krewnych. Pożegnania przed podróżą były więc pożegnaniami na zawsze.

Diakonisy w Miechowicach od dłuższego czasu rozmawiały o tym, co zrobić. Zastanawiały się, jaką podjąć decyzję. Żydowskie dzieci, powierzone im w opiekę, już raz przecież przeżyły dramat rozstania. Czy można narażać je kolejny raz na rozłąkę i podróż w nieznane? Jak to zniosą? Jednocześnie diakonisy martwiły się o pozostałe dzieci przebywające w Ostoi Pokoju. Gdyby wydało się, kto tutaj mieszka, wszystkim groziło ogromne niebezpieczeństwo. Ostatecznie ustalono, że wyjazd dziecięcym transportem (Kindertransport) do Anglii będzie najlepszym wyjściem – ocali żydowskie dzieci i ochroni pozostałe.

Diakonisy przygotowały dla każdego dziecka niewielki pakunek z osobistymi rzeczami – najczęściej były to tylko dokumenty i kilka pamiątkowych zdjęć z Miechowic. Annie zabrała prowiant na drogę i kilka swoich najpotrzebniejszych rzeczy. Reszta została w Miechowicach. Później diakonisy zapakują wszystko do

skrzynki i ukryją głęboko na stryszku w drewnianym domku – domku nazywanym Domkiem Matki Ewy. Maks także otrzymał pakiet swoich dokumentów i fotografii. Będą to jego jedyne pamiątki z przeszłości – jedyne łączące go z Bytomiem namacalne ślady.

Annie i dzieci musiały przedostać się do Berlina, stamtąd miały wyruszyć w dalszą podróż, której celem była Anglia. W tamtych czasach z bytomskiego dworca odjeżdżał pociąg bezpośrednio do Berlina. Jazda trwała niecałe cztery i pół godziny. Latający Ślązak poruszał się naprawdę szybko. Mały Maks jeszcze nie wiedział, że – dzięki staraniom Annie i pozostałych diakonis – nie tylko załapał się na jedno z ostatnich miejsc w transporcie do Anglii, ale także na jedną z ostatnich tras Latającego Ślązaka. Pociąg skończył swoją kolejową przygodę 21 sierpnia 1939 roku, czyli tuż przed wybuchem II wojny światowej. Annie i dzieci dotarły do Anglii również na chwilę przed wybuchem wojny. Wyjeżdżając z Ostoi Pokoju Maks dokładnie zapamiętał wszystkie budynki. Zapamiętał też ogromny komin i szyb z kopalni znajdującej się w bliskim sąsiedztwie. Gdy ponownie tu wróci, będzie miał ponad osiemdziesiąt lat. Przez te lata nie tylko nigdy nie odnajdzie najbliższych, nie będzie mógł z nimi porozmawiać, ale też nigdy nie pozna prawdy – dlaczego mama oddała go diakonisom na wychowanie. Pytania bez odpowiedzi, ogromna pustka, zerwane więzi i poczucie straty będą się mieszać z wdzięcznością za ocalone życie. Jakże trudno jest dorastać, mając za sobą takie doświadczenia!

Jakże trudno jest wybaczyć przeszłości i śmiało, z ufnością patrzeć w przyszłość... „Co czeka Maksa? Czy jeszcze będzie szczęśliwy?” Głowę Annie zaprzętało sporo pytań. Siedząc obok dzieci w rozpędzonym pociągu, cicho modliła się do Boga. Głęboka wiara dodawała jej sił i odwagi. Musi się udać.

I udało się. Wszystkie dzieci, które przywiozła Annie, znalazły schronienie w rodzinach zastępczych i wkrótce zostały adoptowane przez angielskie małżeństwa. Gdy Maks dorósł, ożenił się, a potem doczekał kilkorga dzieci

Zrealizowano w ramach stypendium przyznanego przez Gminę Bytom

i mnóstwa wnucząt. Jest szczęśliwy. W 2024 roku hucznie świętował swoje dziewięćdziesiąte urodziny. Było przy nim wiele bliskich mu osób.

Annie nigdy nie wróciła do Miechowic. Gdy zmarła 11 stycznia 1965 roku, miała ponad dziewięćdziesiąt cztery lata. Jej grób znajduje się na cmentarzu Ocklynge w Eastbourne. To ponad sześćdziesiąt kilometrów na południe od Londynu, w którym mieszkała, gdy była dzieckiem. Na jej grobie znajdują się słowa:

Mojemu Bogu płomienne serce

Moim bliźnim miłości serce

Mnie – serce ze stali.¹

Anna Seemann-Majorek

¹ To my God a heart of flame
To my fellowmen a heart of love
To myself a heart of steel. / Św. Augustyn